

Aniela i Joanna Chmielowskie  
Nagranie z 19 lipca 1990  
Londyn



Urodziłam się w 1903 roku, chrzczona byłam w Gościeradowie Lubelskim, stamtąd pochodzi rodzina. Ale my 14 lat mieszkałyśmy na kresach, bo mąż był komendantem policji w Jeziornicy, powiat Słonim woj. Nowogródek. Wykształcenie średnie, doksztakałam się już tutaj. Wywieźli nas 13 kwietnia 1940 roku. Troje dzieci: najstarsza Halina miała wtedy 12 lat, Joanna 11, Jureczek 9 lat.

Męża internowano razem z wojskiem na Litwie. Cała policja była ~~internowana~~ powołana do wojska. Pod Grodnem stoczyli walkę z bolszewikami (gen. Przeździecki dowodził), dotarli do Litwy, tam oddali broń i tam ich internowano.

U nas już była wywózka 10 lutego, wywozili wtedy gajowych, leśników. Mówiło się, że kogo mieli wziąć to już wzięli. Wywózki już się nie spodziewaliśmy, przeciwnie, myślałam o przedostaniu się do rodziny w Lubelskie. Już byłam bliska decyzji, ale dzieci usłyszały jak jakiś Żyd, który uciekał przez granicę od Niemców z dwoma synami i żoną, opowiada, że na granicy zabili mu syna, przestraszyła się córka, stąd zwłoka. Nie uciekliśmy do dziadków w Lubelskiem.

Jak wyglądał początek okupacji? Witali ich niesamowicie, szczególnie Żydzi wszyscy. Aptekarz, niby przyjaciel, z ~~którym~~ którego synkiem córka się bawiła, na rowerze go wozila, teraz mawiał: "Panów niet, teraz wszyscy równi". Witali ich bramą powitalną, kwiatami. Lokalni komuniści zachowywali się wobec nas OK. Jeden z nich siedział za polskich czasów 4 lata za komunizm, przyszedł do nas kiedyś posłuchać radia (zanim je zabrano) i mówi: "No, komuna przyszła, za tę komuna mnie bili". "Bardzo mi przykro" - ja na to. A on "Proszę pani! Za mało mnie bili! Teraz, jak zobaczyłem, że ideowych komunistów aresztują także, chce gdzieś nawiewać!" Najpierw myślałam, że to prowokacja, potem się ucieszyłam. Drugi lokalny komunist, syn zamożnego dość gospodarza, Stioke, jak przyszli Rosjanie

bardzo szybko się zorientował o co chodzi. Jak coś do sklepu przywieźli, brał córkę na ramiona, przepychał się, żeby <sup>dotrzeć</sup> (coś do jedzenia). Wielki przyjaciel się z niego zrobił i mówił: "Pani mąż to był ludzki człowiek". Bo jak był mityng przed wojną i łowili komunistów, to mąż brał tego pana Stefana i tłumaczył mu: "Panie Stefanie, pan ma ojca starego, gospodarstwo ogromne, a bawi się pan w takie rzeczy" - i częstował go papierosem, rozmawiał z nim. Dzięki temu on później opiekował się nami, krążył koło domu, bo bandy napadały.

J. Utrzymywaliśmy się jakoś, bo wypłacono awansem ojcu pieniądze, jeszcze złotówki "szły". Kupiłam zboża, zewiozłam do młyna (grunt to chleb!), kupiłam też dwie świnki. Jedną jakiś gospodarz-szlachcic wymienił mi na furę kartofli. W jakimś majątku dostałam od kogoś kurę, znajomi też pomagali, znosili różności. Przedtem nigdy nie brałam, jak ktoś mi coś chciał dać za darmo (choć to było przyjęte). Później, kiedy męża już nie było, przyszła sołtysowa i pod kożuchem przyniosła mi kawał słoniny. "Może pani teraz weźmie?" - "Teraz wezmę i bardzo serdecznie dziękuję" - jakąś poduszeczkę jej za to dałam.

Jeziornica to była mała miścinka białoruska pod Słonimem (jeden przystanek kolejowy od Słonima, gdzie zresztą przedtem mieszkaliśmy pięć lat). Polaków było bardzo niewiele. Była szkoła, więc polscy nauczyciele: kierowniczką pani Bosnowska, pani Szostakówna. Do kościoła do Sielawicz się jeździło, tu była tylko cerkiew. No i sklepy, apteka - to Żydzi prowadzili.

W przeddzień naszej wywózki rozeszła się wieść o jakimś rabunku dużych pieniędzy. Więc jak w nocy po nas przyszli, kojarzyłam to z tym rabunkiem, bo pytali o pieniądze. Wcześniej były drobne incydenty (np. ktoś rozsyłał jakieś anonimy, wizerunki Stalina z łopata, więc wzywali, sprawdzali mój i córki charakter pisma, ale b. słabo poszła, więc puścili).

Przyszli. Trafili nam się bardzo porządny enkawudzista, lokalnych wysłał po furmanki, sam został z nami. Zawsze mówili, że można

brać tylko tyle bagażu ile się uniesie. A ten postawił w rogu karabin i zaczął nam pomagać pakować. Joanna się kłóciła i płakała, jej siostra płakała, brat także, a ja się zastanawiałam, co brać. Enkawudziście nic nie mogliśmy zarzucić, bardzo był życzliwy. Spakował nam nawet maszynę do szycia, materace z łóżek, wszystko pozawiązywał. Na pociechę nam powtarzał, że jego brata też wzięli...

Załadowali nas na furmanki, wiózek nas ów Stioпка, Stefan, na drugiej furmance rzeczy. Jak zostaliśmy trochę w tyle, mówi: "Skreścamy, gwarantuję, że uciekniemy". Powiedziałam: "Jak dobrych Polaków wywożą, to nie chcę się czuć gorsza. Jedziemy, gdzie nam przeznaczone. Dziadek i ojciec (choć furmanki były gotowe) na Sybir nie pojechali, to my pojedziemy zwiedzać Syberie!"

Zawieźli nas do Słonima, do bydłowych wagonów zapakowali, w Baranowiczach była już kolej szerokotorowa i tam nas przeładowano. Ten nasz enkawudzista dobry kazał mi kufer wziąć, nawet miednicę (później go za to błogosławiłam!), ale jak ja to teraz z trojgiem dzieci będę niosła? Więc siedzę sobie: wiedzcie mnie, to mnie przeładujcie! Ja, skromny i zawsze grzeczny człowiek, pokłóciłam się z jakimś oficerem, który mi radził poprosić kogoś o pomoc. "Nie, nie będę nikogo prosić, każdy ma swoje toboły do dźwigania, a wy z dziećmi i kobietami (walczycie)!" Jak nakrzyczałam, to ten oficer poszedł, przyprowadził kogoś. Wszystko przenieśli, a ja sobie szłam tylko z torebką.

Jechaliśmy bydłowymi wagonami, w których były nary i w podłodze dziura jako ubikacja. Kocami się ją zasłaniało, żeby było "prywatnie". Mężczyzn wśród nas było mało, ale kilku było, nawet młodych, wywozili cały "niepewny element", np sołtysów. Zauważyłam nawet jednego z tych, którzy pracowali przy bramie triumfalnej ("Witajcie!") i nie omieszkałam mu powiedzieć: "Że nas wywożą - w porządku! Ale że gerojów sowieckiego sojuza widzę w tym wagonie!"

Wieźli nas bardzo długo, przeszło dwa tygodnie. 13 nas załadowali, a 29 kwietnia przyjechaliśmy. Jedna z córek spisywała stacje



w notesie (chciała spisać całą historię podróży) i co stacja - zapisywała "Wodogrejka". Bo nazwy stacji były gdzieś ukryte, a dużymi literami oznaczano miejsca, gdzie był "kipiatok" (właśnie wodogrejka) bo to było bardzo ważne w Rosji. Łobuzy ciągle podskakiwali na stojakach i prosili o polskie monety. Córka mówiła: "Krzyczę Jeszcze Polska nie zginęła, to dostaniesz" Rozglądał się taki wokół i: "Nielzia".

Na podróż wzięliśmy statuetkę Piłsudskiego. Jak zaczęli straszyć że będą później robić rewizję w naszych rzeczach - to przejeżdżając przez Wołgę ułamałyśmy główkę Merszałkowi, korpus wrzuciłyśmy do rzeki, a główka z nami dalej do Rosji pojechała.

Karmili nas jakąś zupą, pływały w niej pocięte liście kapusty i brązowe oka z jakiejś oliwy. Nie do jedzenia. Wszyscy ją od razu wylewali pod wagony. Ja miałam tego prosiaka, to był jakiś kawałek swojej wędliny, no i chleb zabrany jeszcze w Słonimie czy Barenowiczach. Pani Prokofikowa mówiła: "Co to będzie pani Chmielowska?" jak nas pakowano do transportu, a ja odkrzyknęłam: "Polska nas znajdzie!" W podróży też dodawałam otuchy. Niejaka pani Elbowicz (?) napisała w Afryce, gdy byłam już w Anglii: "Pani była w najcięższych warunkach a najdzielniej się trzymała". A ja uważałam, że to jest mój obowiązek. Troje dzieci - patrzą, jaka jest postawa matki.

Łudzie w wagonie spali na dolnych i górnych narach. Mieliśmy miejsce na dolnej, kto miał więcej sił brał górne, bo tam było więcej powietrza i można było coś widzieć. Czasem uprosiłam na chwilę miejsca na górze koło okienka, bo byłam ciekawa tego świata, do którego jechałyśmy. Niech widzę, niech mam otwarte oczy! Wtenczas myślałam o przedwojennych audycjach pana Wragi (był to pseudonim jakiegoś sowietologa, który w ramach antypropagandy bolszewickiej dużo mówił o tym, czym naprawdę jest komunizm w Rosji). Myślałam wtedy, że przesadza, zdawało mi się, że mówi rzeczy niemożliwe. Tymczasem teraz w drodze zobaczyłam nędzne chałupki i ludzi, jakiś stary czło-

wiek wygląda z za węglą, jakaś stara kobieta podbiega i chleba prosi - nas, wywożonych! I czasem tego chleba rzuciliśmy... Myślałam: panie Wraga, pan nie wszystko wiesz! A jak byłam już na miejscu, to jeszcze dużo panu Wradze mogłabym podpowiedzieć... Nic dziwnego, że niektórzy nawet własnym dzieciom nie wierzyli.(...)

W podróży nie przesiadaliśmy się, czasem tylko były dłuższe postoje, można było wyjść. Na stacjach straszny brud, trzeba było także uważać, żeby się nie oddalać od pociągu, bo ruszał dalej bez uprzedzenia. Był wypadek, że jedna dziewczynka została na jakiejś stacji (poszła po "kipiatok"). Pociąg ruszył i została. Jakiś wywieziony Polak zabrał ją, oddał do sierocińca polskiego, była w tym sierocińcu w Indiach (Joanna chodziła z nią tam do szkoły). Zresztą ten pan później ją znalazł i została jego synowa.

Czasem zatrzymywali pociąg w szczerym polu, żeby nas wypuścić, żebyśmy rozprostowali nogi, załatwili własne potrzeby. Stali wtedy z karabinami, pilnowali nas.

Przywieźli nas do Siewiero-Kazachstańskiej Obłasti do Pietuchowa, Precznowskiej Rejon. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Załadowali nas na ciężarówkę i powiedzieli, że mamy jechać do klubu. Joanna: Myślałam, jak to cudownie, bo wspominałam policyjny klub taty, gdzie były gry, kawiarnia. Tymczasem tą ciężarówką w nocy (jechałiśmy prawie 100km) przywieźli nas przed jakąś ziemiankę-chałupę podpartą palami, bo już się chyliła. Dach dotykał ziemi, na dachu rosły jakieś badyle (...). Ciężarówka staje, każe nam wysiadać: to był właśnie ów klub. Okien w niej nie było, klepisko, podium nieduże z desek, gdzie pewnie przemawiali, żadnego mebla. Tam byliśmy dopóki nas ludzie tamtejsi nie zabrali, a taki mieli obowiązek. Myśmy się dostali do Priwiszinskiego owcosowchozu do niejakiego Dolina, pasterza owiec. Mógł to być Rosjanin albo Ukraińiec, bo w 1900r Kazachstan był bardzo mało zaludniony (Stepy, stepy, stepy...) i ca

dawał tam osiedleńcom bezpłatnie ziemię. Przydzielili nas więc do tego pasterza, który miał żonę i dwoje dzieci: starszą córkę i małego wymarzonego synka. Oprócz tego mieszkał z nimi dziaduszek. Jedną była izba, ściana jej powierzchni zajmowała piec. Do tej izby dokwaterowano nas czworo, powiedzieli, że możemy za piecem mieszkać. Między małymi Waniuszką a jego starszą siostrą była duża różnica wieku, więc trzęśli się nad nim - okna nie wolno było otwierać, Waniuszka by się przeziębiła. Na zimę wprowadzali jeszcze do tej izby cielę, kury mieszkaly pod piecem, a dziaduszek od czasu do czasu przychodził w nocy zalanym i po półce na piecu, na której brat spał - włożył na piec swój. Pluskiew było zatrzesienie. Mama chodziła w nocy i z nas dosłownie zgarniała, zmiatała pluskwy....

Aniela: Bo myślałam, że nie dość niedożywienie, to pluskwy z dzieci wyciągają krew. Warunki były absolutnie makabryczne. Strasznie ciężka praca przy przerzucaniu zboża, żeby się nie zaparzało. Lato tam bywało krótkie, zboże krótko wegetowało. Często w maju jeszcze leżał śnieg. Jak zdążyli zasiać w pierwszej połowie maja, to już we wrześniu były żniwa. A jak nie zdążyli zebrać, to śnieg przysypywał kwitnące zboże, słoneczniki.

W sowchozie była szkoła czteroklasowa, młodsze dzieci (Joanna i Jurek?) chodziły do szkoły. Był przymus pracy, prawie nic za tę pracę nie dostawaliśmy. W sowchozie było parę polskich rodzin: była pani Kolendowa, pani Gołacka, cała rodzina gajowego Zalewskiego. Joanna: Sklepik był. Raz, na samym początku, przywieźli do niego chwałkę szarą ze słoneczników. Poza tym głównie pojawiała się tam pasta do zębów, a oni nie wiedzieli, co z tym zrobić. W każdym razie mama zdecydowała, że musimy się gdzieś przenieść...

Aniela: Pomyślałam, że nie przetrzymamy zimy bez wietrzenia, bez jedzenia i z tymi pluskwami. W rejonie można się było poruszać. 24 października przenieśliśmy się o siedem kilometrów dalej, do kołchozu



Spasowka. Najpierw tam poszłam na wywiad. Znalazłam tylko jedno wolne mieszkanie, dość dużą izbę "uchownicę". Oprócz niej w domu była kuchnia. I tylko dwie osoby tam mieszkały: baba Woronicha, strasna baba, z przybraną córką, bardzo dobrą. Jedni drugich ostrzegali przed babuszką Woronichą i dlatego nikt u niej kwatery nie zajął. Wszyscy jej się bali, bo śmiała się, jak się komuś zdarzyło nieszczęście, cieszyła się, jak ktoś złamał nogę. Podobno i bolszewicy jej się bali. (...) Spytała mnie, czy umiem drzewo na podpałkę rąbać, kiziaki robić. Bo rosły tam tylko karłowate brzozy, a paliło się "kiziakiem", suszonym nawozem zmieszany ze słomą i błotem. Przeegzaminowała mnie, powiedziała, że umiem wodę nosić, grzewo rąbać, kiziaki robić, chodziło jej przecież o pparobka. Orzekła, że mogę się do tej "uchownicy" wprowadzić (ona stale mieszkała na piecu). Stało tam duże porządne rozsuwane jak szuflada łóżko. A dom był prawdziwy, miał okna, dach kryty blachą.

Z sowchozu do Spasowki dojechaliśmy wołami. Jakiś traktorzysta właśnie miał interes w Spasowce, jechał do "sapoźnika" i miał nasze woły zabrać z powrotem. Ale jechaliśmy w żółwym tempie, traktorzysta w końcu powiedział, że pójdzie piechota, my zaś pojedziemy za nim, a on za ten czas w kołchozie sprawę sobie załatwi. I poszedł. Woły padły w pewnym momencie na ziemię w jarzmach. Co było robić? Zobaczyłam stóg siana w dali, daliśmy wołom posiłek i jakoś na wieczór dojechaliśmy, choć nie było to daleko. Zamieszkaaliśmy u baby Woronichy.

Z początku miałam jeszcze worek maki z Polski, przez zimę do roboty nie brali. Joanna haftowała. Poprułyśmy nasze serwety, z tego się robiło jakieś chusteczki, serwetki. Pze tym zanim wojna wybuchła można było łatwo wymienić rzeczy na żywność: zboże, maki, jajko. Nie było jeszcze najgorzej, bo oni byli spragnieni odzieży i wszystkiego. Ale wiosną córkę wysłali do przebierania kartofli

w jakiejś zgniełej jamie, gdzie jej się krew z nosa rzuciła. Z tydzień tam pracowała, jakiś kawałek chleba dostawała. Potem kazeli mi zwracać 25 rubli za ten "pajok", bo powiedzieli, że nawet na pajok własny nie zarobiła. Miskam na początku trochę pieniędzy, bo wyjeżdżając z Polski sprzedawałam jakiś obraz.

Chodziłyśmy do różnych robót, również dzieci. Do sadzenia kartofli, melonów. Było tam także dużo zesłanych Turkmenów z granicy z Turkiestanem.

S.B (...). Zaczęliśmy głód cierpieć. Poślad wygrzebywałyśmy w nocy spod śniegu, w młynie się dziwili, skąd taki brudny poślad. (...) U nas w Polsce się mówiło "po pierwszej wojnie" itd, a u nich: "po pierwszej hołodowce, po drugiej"... kolejne głody. Od nich liczyli lata. Mówili, że po pierwszym głodzie 70 procent ludzi umarło...

Pracowałam "prywatnie" u gospodarzy, jedna chatę bialikam, w ogrodach pomagałam. Dawali za to jeść. Cóż to było za uczucie - jeść z jednej miski z całą rodziną u gospodarzy! Jak się jest naprawdę głodnym, długo głodnym, to się człowiek nie brzydzi wcale, nawet zasmarkanych dzieci. Raz za prywatną pracę dostałam główkę kapusty. Położyłam kapustę na ławce, rozmyślałam, co z niej zrobić. Za chwilę patrzę: kapusta znikła! Dzieci się przysiadły, liść po liściu... (...) Rósł tam dziki czosnek w stepie, wyjadało się go, jego dy. Ludzi od głodu trochę ratowały ogródki (pomagałam je pleć), nie mia tam była urodzajna, rodzika pszenicę, jeśli sezon pozwolił. A z silnej stepowej wynawożonej darni budowali tam, jak z cegły, ziemianki. Większość tak mieszkała.

Jak wybuchła wojna, to gospodarze po cichu szczerze mówili: "Żeby szybciej germaniec przyszedł". Myślałam, co za naród nieszczęśliwy! Taki straszny wróg, a oni... (...) Pewna kobieta, której mąż był w wojsku, dwoje dzieci miała, kiedyś w złości powiedziała (bo wciąż dla niej nie starczało jakiegoś materiału, który tam od czasu do czasu przywozili, wciąż ją to dobro omąjało): "Żeby ten germaniec



przyszedł!" Zabrali ją z brygady i ślad po niej zaginął. Dzieci zostają. (.....)

Do Spasowki przeniosły się również pani Kolendowa i pani Gołacka. Można się było po rejonie poruszać, ale trzeba było to uzasadniać. Ja np. miałam ten pretekst, że starsza córka nie ma gdzie do szkoły chodzić.

Zima była tam straszna, zewieje, domów nie było widać. Raz pojechałam po drzewo na podpałkę (o 6 km), zerwał się niesamowity "burian". Dużo tam było wilków, więc groźba. I groźba odmrożenia rąk. Jak rąbałam, było mi ciepło, ale w drodze powrotnej szliśmy niemal tyłem, bo to była ściana śniegu! Już mi się coś majaczyło, że to płot jakiś... Na kominiarkę związałam serwetę, pod wiatr mi się to rozwiązało, chciałam poprawić - i nie czułam już dłoni. Były już białe. Łokciami chciałam wiązać tę serwetę. Kołchoźnik idący przede mną się odwrócił, zobaczył, że manewruję łokciami chcąc wiązać. Zatrzymał się (porządny człowiek), a miał na rękach po dwie rękawice, jedno z psiej skóry. Roztarł mi śniegiem ręce i pożyczył tych swoich rękawic z psa. Uratował mi ręce. Zdawałam sobie sprawę z tego, ile mu zawdzięczam, ile mu jestem winna i chciałam mu się jakoś zwanżować. Byłabym mu dała obrączkę, ale ją zgubiłam, bo schudłam. Miałam ciężki srebrny medalionik z Sercem Jezusa, myślałam sobie: może się na to srebro poślakomi. Zaryzykowałam i gdy byliśmy sami (tam nie wolno przy świadkach tego robić), zaproponowałam mu to: "Strasznie jestem wdzięczna i chcę ci to dać". On najpierw zrobił ruch jakby chciał wziąć, ale później cofnął rękę. "Ale grażdanka nie dumaj, czto ja niewieruszczyj, tylko dwa lata byłem niewierzacy, szłałem jak wszyscy głupcy, wyrzucałem z cerkwi ikony". I opowiedział mi, jak wyszedł cało, dwudziestoletni, z niebezpiecznej przygody z wilkami, kiedy to w nocy ~~podwoził~~ dziesiątka przez step 70km, zgubił drogę. Już bez nadziei, że wyjdzie z tego cało (wilki były tuż tuż) pomyślał o Bogu i Matce Najświętszej. Opowiedział mi to

i dodał: "Ja się modłę, ale nawet żona o tym nie wie, bo jak się pokłócimy, to ona może donieść". Bo donosy były na porządku dziennym. Nie wziął medalioniku, bał się. Dużo tam było ludzi wierzących, którzy nie przyznawali się do tego (...).

Najlepsze swoje rzeczy zostawiłam na koniec, jakiś swój kostim<sup>w/</sup>, jakiś nowy wełniany płaszcz męża. Oni to umieli cenić. Czeszałam całą wieś, chałupa w chałupę, kiedy już nie mieliśmy obowiązku pracy przymusowej, (zresztą i tak nic nie płacili) i wróciłam do domu z niczym. Miałam tylko otręby w woreczku, nawet miałam pieniądze. Wszędzie jednak słyszałam: "My hołód znajem". Sami za "trudność doźnień" nic nie dostawali, bo zboże kwitnące śnieg przysypał. Kazałi im prywatne krowy pozabijać, bo ziarna i siano nie było, dla wojska wysłali. Tylko jedna kobieta powiedziała mi, że ma półtora worka żyta (żyto było u nich w pogardzie, uznawali pszenicę). Mogło mi to starczyć na parę miesięcy na chleb. Powiedziała, że wie, gdzie w stepie rośnie siano i traktor tam nie dojeżdża. Da mi to żyto, ale tylko za siano. Prawdopodobnie chciała uchronić krowe do powrotu męża z wojska. U niej też był głód.

Był początek października. Moja babuszka też chciała tego siana. Mówię: "Ależ ja nie umiem kosić!" - "Jak się urodziłam, też nie umiałam kosić" - ona na to. - "Nauczę cię". Skuszenie, pomyślałam. Poszłyśmy. Najpierw kosiłam dla krowy babuszki. Miałam cynge, szkorbut (Myśmy szczęśliwie stamtąd wyjechali, bo tylko ja straciłam zęby: dźgała się pootwierały i wypadły zdrowe zęby). Na nogi nie mogłam już włożyć butów, owijałam je tylko w bandażę i szmaty i tak chodziłam. Potem - już sama - kosiłam dla tej kobiety, która miała żyto. Ale ona zażądała, żeby pokosy były zebrane w kupki, bo jak śnieg je przysypie, nie znajdzie ich. Sama miała przyjechać po toś siano. Nakosiłam dość dużo, a moje nogi były już tak popuchnięte! Nigdy nie zrozumie, dlaczego nie dostałam wtedy zakażenia.

Czasem nawet nie miałam sił przewinać bandaży na nogach, kładłam się w brudnych i wstawałam znowu. Ale trzeba było zrobić te kupki. Ziemia była już zamarznięta, więc Halina, moja 13-letnia córka ciągnęła mnie na dwukołowym wózku pożyczonym od sąsiadów, żebym mogła pokosy pozbierać w nieduże chociaż kupki. Niedożywiona i wychudzona płakała, ale jakoś mi pomagała, bo już nie mogłam chodzić. Nie było innej rady. Nie bardzo mogłam stać również, bo nogi popuchnięte, w pięcie krater, rana do kości. Ze dwa dni to trwało, ta praca. I dziwił się, że ludzie nie wierzą! Było to w 41 roku, po wybuchu wojny. Do pracy nie przymuszali, ale nikt się o nas nie troszczył, był to dla nas najcięższy okres. Im też groził głód. Kiedyś uszyłam komuś na swojej maszynie sukienkę, znajoma mi skroiła - za wiadro mąki. Ktoś doniósł, że zarabiam prywatnie. Drugiego lutego, w Matki Boskiej Gromnicznej, wzywają mnie do sielsowietu: "Grażdanka Chmielowska, u nas takiej zakon, czto nie lzia zarobatywat`sobstienno". A ja od razu: "A u was jest takiej zakon, czto by rebiatieszki z hołodu pomierali?" Zaczerwienił się, zwiesił głowę, nic nie powiedział.

Joanna: Do sklepiku rzadko coś przywozili. Najlepiej było kupić wódkę, bo za nią dawano ziarno. Wkładałam taty buty z cholewami, za duże dla mnie, więc rozcięte z tyłu i zawinięte, taty kożuszek do polowania - i z całą energią szłam do sklepiku, kłóciłam się, odszczekiwałam, rozpychałam - i kupowałam tę wódkę. Kiedyś w oddalonym od naszego o 7 km. kołchozie kirgiskim pokazało się mydło i doszło to do nas. Wystroiłam się elegancko (panams, fartuszek) i sama przez ten step i wilcze lasy brnęłam tam i zdobyłam to mydło. Ludzie po drodze mówili: "To na pewno polskie dziecko". Mama była niespokojna o mnie, ale mydło przyniosłam.

Aniela: Kiedyś naszej gospodyni jałówka spadła z dachu komórki, gdzie dostała się po zaspie i skubała coś. Złamała kark, trzeba ją było zabić. Baba Woronicha była analfabeta, nie umiała liczyć



obiecała mi kawałek mięsa, jeśli z nią pojedę do pobliskich kołchozów mięso sprzedawać. Wynajęła woła z wozem, chłopak poganiał, pojedaliśmy. Wilki nas gnały, widziałam je z daleka i wzięłam za samochody. Myślałam: wilki mięso poczują, baba i chłopak, co nam wóz wynajęła, jakoś uciekną - ale biedny wół i ja z tymi opuchniętymi nogami!

Wiektrzy trafiali do kołchozów zasobniejszych, tam gdzie ludzie mieli co jeść, jak pani Dubaniewiczowa. Oni mieszkali w nędznych warunkach, tak jak i my - ale nie byli tak głodni. A u nas straszny był głód. Nieraz przypominałam sobie wiersz o tym, że kamień i żelazo się kruszą a człowiek wytrzyma. I wytrzymałiśmy.

Amnestia była od lipca, już doszła do nas wiadomość o niej, kazali pisać - pisało się i czekało.

Joanna: Dostaliśmy od taty wreszcie pozwolenie na wyjazd. Z tej samej Jeziornicy była w naszym kołchozie żona policjanta, pani Kolenkowa z małą córką, młodszą ode mnie. Nie dostała tego pozwolenia, ale powiedziała, że nie zostaje, że pojedzie z nami.

Aniela: 14 kwietnia 1942 roku wyjeżdżałyśmy z kołchozu. Wynajęło się tego samego "prywatnego wołu" z wozem, a właściwie z saniami, bo jeszcze wszędzie leżał topniejący śnieg. Miał nas odwieźć o 35 km. dalej - pierwszy etap do Pietuchowa, do jakiegoś kołchozu, gdzie był pan Studziński, który przyjechał po żonę i dwie córki, które były tam gdzie my. Śnieg już topniał, wół nie chciał ciągnąć na gołych odcinkach drogi, więc ciężko było. Najmłodsze dzieci siedziały na rzeczach, pozostałe osoby brodziły koło sań na przemian w śniegu i błocie. Dzieci płakały: "Wracemy!". Pod koniec tego etapu wędrówki bardzo już chciałam sobie pomóc i iść na czworakach, ciągnęło mnie, żeby sobie w ten sposób pomóc. Strasznie już nie mogłam iść.

Nasz wół wrócił do Spasowki, trzeba się było postarać o dalszy transport. Najpierw chciałam to same zakatwić. O świcie poszłam do "predsedatiela" (była nim kobieta). Jeszcze spała, pokotem z innymi

Kirgizami w jakiejś izbie. Obudziła się, tłumacząc, że jest wielki "dogawor" z Polakami, że jestem wezwana do wojska, muszę jechać z rodziną. Powiedziała, że absolutnie żadnego transportu nie ma, że tylko na zboże dla wojska. Ja jeszcze mówię - a tu w izbie zjawia się pan Studziński (jego żona już pojechała), podaje się za mojego męża. Przystojny pan, zaczął jej coś błagować, ona się podurwała z tych pieleszy, poprowadziła nas do "kantory". On jej jakieś pocztówki pokazywał, zagadał ją - i znalazły się wozy!

Wiozła nas kobieta. Za wołu ze Spasowki zapłaciłam spodniami męża i jego kozuchem. Tej kobiecie dałam różne rzeczy (np piękny kilim wełniany), ale najbardziej się ucieszyła chlebem. Piekłam go w nocy przed wyruszeniem w podróż, całą nocłka nie zmrużyłam, ale i tak zakalec wyszedł, rozlane bochny. Bardzo się ucieszyła. Jechaliśmy o świcie, bardzo raniutko, bo tylko wtedy jazda była możliwa, jeszcze mróz trzymał, potem już roztopa. Jechaliśmy i szli w błocie w strasznych warunkach - i nikt nawet kataru nie dostał!

Joanna: W Pietuchowie czekał na nas tata. Potem już jechaliśmy pociągiem. Państwo Studzińscy, my, oraz na gapę pani Kolendowa z córeczką, która nie miała ani papierów ani biletu. Na taty "pozwoleniu" napisane było "żona i troje dzieci" - bez określenia płci. Wagony nie były oświetlone, więc jak nadchodziła kontrola, Jurek chował się za plecami ojca, dziewczynka pani Kolendowej leżała za nami, osłanialiśmy ją siedząc, a pani Kolendowa, młodsza nieco od mamy, występowała jako jej córka. Kontrola była dosyć często, a matka pani Kolendowej dostała ataku ślepej kiszki i jęczała, więc całą drogę modliliśmy się, żeby nie jęknęła w czasie kontroli.

Aniela: Tak jak ten kołchoźnik, któremu chciałam dać medalion, powiedział mi: "Cały świat niech będzie niewierzący - ja wierzę, tak i ja miałam dowody Opatrności Boskiej. Jeszcze w kołchozie jeden mi powiedział: "No cóż, modliłaś się i na Sybir was wywieśli!" A ja na to: "Modliłam się i modłę, że waszymi bezbożnymi rękami pokierow

wał i mnie z dziećmi schronił tutaj, bo tam wojna i może tam kamień na kamieniu nie został. A tutaj "wozduch prekrasnyj" i bomby na głowę nie lecą". Jego zatęchło i ironiczny uśmiech znikł mu z twarzy.